

# Marek Grechuta, W malinowym chru

W malinowym chruśniaku, przed ciekawych wzrokiem  
Zapodziani po głowy, przez długie godziny  
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.

Palce miałaś na oślep skrwawione ich sokiem.  
Bąk złośnik huczał basem, jakby straszył kwiaty,  
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,  
Złachmaniałych pajęczyn skrzyły się wisiory,  
I szedł tyłem na grzbiecie jakiś żuk kosmaty.  
Duszno było od malin, któreś, szepcząc, rwała,  
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni,  
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni  
Owoce, przepojone wonią twego ciała.

I stały się maliny narzędziem pieśzcoty  
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całym niebie  
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,  
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty.  
I nie wiem, jak się stało, w którym oka mgnieniu,  
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,  
Porwałem twoje dłonie - oddałaś w skupieniu,  
A chruśniak malinowy trwał wciąż dookoła.

\* \* \*

Śledzą nas... Okradają z ścieżek i ustroni,  
Z trudem przez nas wykrytych. Gniew nasz w słońcu pała!  
Śpieszno nam do łez szczęścia, do tchów naszych woni,  
Chcemy pieśzcot próbować, poznawać swe ciała.  
Więc na przekór przeszkodom źrenicą bezradną  
Chłoniemy się nawzajem, niby dwa bezdroża,  
A gdy powiek znużonych kotary opadną,  
Czujemy, żeśmy wyszli z uścisków i z łoża.  
Nikt tak nigdy nie patrzył, nie bywał tak blady,  
I nikt do dna rozkoszy ciałem tak nie dotarł,  
I nie nurzał swych pieśzcot bezdomnej gromady  
W takim łożu, pod strażą takich czujnych kotar!

\* \* \*

Taka cisza w ogrodzie, że się jej nie oprze  
Żaden szelest, co chętnie taje w niej i ginie.  
Czerwieniata wiewiórka skacze po sośninie,  
Żółty motyl się chwieje na złotawym koprze.  
Z własnej woli, ze śpiewnym u celu łoskotem  
Z jabłoni na murawę spada jabłko białe,  
Łamiąc w drodze kolejno gałęzie spróchniałe,  
Co w ślad za nim - spóźnione - opadają potem.  
Chwytasz owoc, zanurzasz w nim zęby na zwiady  
I podajesz mym ustom z miłosnym pośpiechem,  
A ja gryzę i chłonę twoich zębów ślady,  
Zębów, które niezwłocznie odsłaniasz ze śmiechem.

\* \* \*

Hasło nasze ma dla nas swe dzieje tajemne:  
Lampa, gdy noc już zdąży świat mrokiem owionąć,  
Winna zgasnąć w tej szybie, a w tamtej zapłonąć.  
Na znak ten oddech tracę. Już schody są ciemne.  
Czekasz z dłonią na klamce i, gdy drzwi otwiera,  
Tulę tę dłoń, co jeszcze ma chłód klamki w sobie,  
A ty w zamian przyciskasz moje ręce obie  
Do serca, które zawsze u drzwi obumiera.  
Wchodzę ciszką, jak gdyby krok każdy zbrodnię,  
Między sprzęty, co dla mnie są sprzętami czarów.  
Sama ścieszysz swe łóżko według swych zamiarów,  
By szczęściu i pieśzcotom było w nim wygodnie.  
I zazwyczaj dopóty milczymy oboje,  
Dopóki nie dopełnisz podjętego trudu.  
Ile w dłoniach twych pieczy, miłości i cudu!  
Kocham je, kocham za to, że piękne, że twoje.

\* \* \*

Zazdrość moja bezsilnie po łożu się miota:  
Kto całował twe piersi, jak ja, po kryjomu ?  
Czy jest wśród twoich pieścót choć jedna pieścótka,  
Której, prócz mnie, nie dałaś nigdy i nikomu ?  
Gniewu mego łza twoja wówczas nie ostudzi !  
Poniżam dumę ciała i uczuć przepychy,  
A ty mi odpowiadasz, żem marny i lichy,  
Podobny do tysiąca obrzydłych ci ludzi.  
I wymykasz się naga. W przyległym pokoju  
We własnym się po chwili zaprzepaszczasz łkaniu,  
I wiem, że na skleconym bezładnie pościeliu  
Leżysz jak topielica na twardym dnie zdroju.  
Biegnę tam. Łkania milkną. Cisza niby w grobie.  
Zwinęta, na kształt węża, z bólu i rozpaczy  
Nie dajesz znaku życia - jeno konasz raczej,  
Aż zniecka za dłoń mnie pociągniesz ku sobie.  
Jakże łzami przemokła, znużoną po walce  
Dźwigam z nurtów pościeli w ramiona obłędne !  
U nóg twych rozemknione pieścótami palce  
Jakże drogie mym ustom i jakże niezbędne !

\* \* \*

Z dłońmi tak splecionymi, jakbyś klęcząc, spała,  
W niedostępne mym oczom wpatrzona widzenie,  
Płaczesz przez sen i wstrząsem wylękłego ciała  
Błagasz o nagłą pomoc, o rychłe zbawienie.  
Jeszcze płaczu niesytą do piersi cię tulę,  
A ty goisz się we mnie, niby lgnąca rana,  
A ja płacz twój całuję, biodra i kolana  
I ramię i zsuniętą z ramienia koszulę.  
Lecz karmiony ust twoich splakany oddechem,  
Nie pytam o treść widzeń. Dopiero z porania  
Zadaję ciemną nocą tłumione pytania.  
Odpowiadasz bezładnie - ja słucham z uśmiechem.

\* \* \*

Wyszło z boru ślepawe, zjesieniałe zmrocze,  
Spłodzone samo przez się w sennej bezzadumie.  
Nieoswojone z niebem patrzy w podobłocze  
I węszy świat, którego nie zna, nie rozumie.  
Swym cielskiem kostropatym kąpie się w kałuży,  
Co nęci, jak ożywczych jadow pełna misa,  
Czołgliwymi mackami krew z kwiatów wysysa  
I ciekliną swych mętów po ziemi się smuży.  
Zwierzę, co trwać nie zdoła zbyt długo na świecie,  
Bo wszystko wokół tchnieniem zatruwa i gasi,  
Lecz gdy ty białą dłonią głaszczesz je po grzbiecie,  
Ono, mrużąc, do stóp twych korzy się i łąsi.

\* \* \*

Czasami mojej ślepej postłuszny ochocie  
Pragnę w tobie mieć czujną na byle skinienie  
Sługę, co pieścótami gasi me pragnienie,  
A ty jesteś tak zmyślna i zwinna w pieścótce!  
Gdy twój warkocz, jak w słońcu wybujale ziele,  
Tchem rozwartych ogrodów mą duszę owionie,  
Głowę twą, niby puchar, ujmuję w swe dłonie  
I wargami w ślad dreszczu prowadzę po ciele.  
I raduję się, śledząc tę wargę, jak zmierza  
Do mej piersi kosmatej, widnej w niedomroczu,  
W której marzę pierś w lesie ryczącego zwierza  
I staram się, gdy pieścisz, nie tracić go z oczu.

\* \* \*

Ty pierwszej mgły dosięgasz, ja za tobą w ślady  
Zdążam, by się w tym samym zaprzepaścić lesie,  
I tropiąc twoją błądność, sam się staję błądny,  
I zdybawszy twój bezkres, sam ginę w bezkresie.  
A potem wżieram w oczy, by zgadnąć, czy dość ci

Omdlenia, co się nogom udziela, jak szczęście,  
I twe dłonie, jak w paki, mnę w zdrobniałe pięście,  
By się w nich docalować twych chrząstek i kości.  
A one wypukleją na dłoni przegibie,  
Niby pestki owoców, zrózowionych znojem,  
I nieśmiały do ust mych garną się wyrojem,  
Zatajone w swej ciepłej od pieśczoł siedzibie.  
Ich dotyk budzi wzruszeń zaniedbanych krocie,  
A ty, tuląc je w warg mych rozrzewnioną ciszę,  
Dziesiętniejsz w uścisku, malejesz w pieśczołcie,  
Chwila - a już cię do snu z lat dawnych kołyszę.  
\* \* \*

Zazdrońcy daremnie chcą pochlebić pierwsi  
Czarom skrytym w twym ciele z moją o nich wiedzą!  
Oczy, co się rzęsami nie tknęły twych piersi,  
Czyliż pustym domysłem te czary wysłędzą?  
Kto w chwili pocałunków nie zagrzał swej dłoni  
Na twych bioder nawrzałej żądzą przegięcinie.  
Nie potrafi określić upojeń tej woni,  
Co z ciebie, jako z róży, snem potartej, płynie.  
Kto ustami w nóg twoich nie wdumał się dreszcze,  
Nigdy dość nie wysłowi twych oczu omdlenia,  
A choćby je dzień cały badał bez wytchnienia,  
Nie wypatrzy z nich tego, co ja z nich wypieszczę!  
\* \* \*

Zmienionaż po rozłące ? O, nie, nie zmieniona !  
Lecz jakiś kwiat z twych włosów zbiegł do stóp ołtarzy,  
A, choć brak tego zbiega nie skalał twej twarzy  
Serce me w tajemnicy przed twym sercem kona...  
Dusza twoja śmie marzyć, że, w gwiazdne zamiecie  
Wdumana, będzie trwała raz jeszcze i jeszcze -  
Lecz ciało ? Któż pomyśli o nim we wszechświecie,  
Prócz mnie, co tak w nie wierzę i kocham, i pieśczoł ?  
I gdy ty, szepcząc słowa, z ust zrodzone znoju,  
Dajesz pieśczołtom ujście w tym szepcie, co pała,  
Ja, zamilkły wargami u piersi twych zdroju,  
Modlę się o twojego nieśmiertelność ciała.